

# Telewizyjny raptularz

Wydarzeniem tygodnia stają się często zjawiska pozornie mało znaczące, do których ani telewizja, ani widzowie nie przywiązują wielkiej wagi. Oczywiście przed faktem. Później wywołują wiele dyskusji. Tak było ostatnio z dokumentalnym filmem produkcji NRD „Godzina duchów”. Zrealizowali ten obraz wytrawni i doświadczeni reportażyści filmowi Walter Heynowski i Gerhard Schuumann, autorzy znanych nam już filmów „Globke — biurokrata śmierci”, czy „Kongo — Miller”. Dziennikarzom tym udają się rzeczy niezwykle, docierają z kamerą tam, gdzie nie zawsze są chętnie widziani, składają do wywiadów osoby, których jedynie własna próżność pcha przed kamerę, ogromnym nakładem starań i sprytu zdobywają informacje o faktach trzymanych w tajemnicy przed społeczeństwem.

„Godzina duchów”, to wywiad z zachodnioniemiecką wróżką Buchelą, o-

sobą praktykującą oficjalnie, cieszącą się uznaniem wielu wybitnych osobistości, głównie polityków, nazywaną „wieszczką z Bonn”, ponieważ rząd federalny często korzysta z przepowiadani jasnowidzącej. Powaga, z jaką odnoszą się pewne kręgi społeczeństwa

zachodnioniemieckiego do Bucheli, ogromna kampania propagandowa w prasie, towarzysząca wycieczkom wróżki — wszystko to śmieszny i wprawia w najwyższy podziw. W wielkim, cywilizowanym społeczeństwie średniowieczne zgoła przejawy zabobonu! Warto dodać, że film „Godzina duchów” nagrodzony został na festiwalu w Lipsku w 1967 r.

Skoro jesteśmy już przy dziwnej i niesamowitej tematyce w filmie, należy odnotować nowy cykl polskich

filmów telewizyjnych, pod wspólnym tytułem „Opowieści niezwykle”. Pokazano nam już trzy pozycje z tej serii „Partię szachów”, według noweli Świętochowskiego, „Zmartwychwstania Offlanda” według Dumasa-syna i ostatnio „Ja gorę” według Rzewuskiego. Bardzo nierówne to twory i w zamysle, i w wykonaniu. Celem było zapewne ukazanie zdarzeń z pogranicza

metafizyki, materialnych efektów wyobraźni i psychologii ludzkiej. Osiągnięto skutki różne. W pierwszym wypadku przedstawiono konstruktora — utopistę i klęskę jego ambicji. W drugim — żart na temat „życia zmarłych”, służący jednak pewnej nadrzędnej myśli. W trzecim — rodzajowy obrazek ze średniowiecza.

Teatr nie popisał nam się tym razem. Ani „Spadek na kredyt” Twaina, ani „Babia góra” Waterhouse'a i Halla, obydwaj utwory ro-

dem z Anglii, nie trafiły mi do przekonania, chociaż z odmiennych powodów. Humoreska Twaina jest pomysłowa i zabawna, ale nie wystarcza na godzinny spektakl. Powtarzanie podobnych bardzo do siebie wariantów o abstrakcyjnych, wydumanych spekulacjach giełdowych po kilkunastu minutach zaczęło nużyć, a aktorom i reżyserowi z trudem udawało się

uniknąć powtarzania sytuacji scenicznych.

Natomiast „Babia góra” reprezentuje sobą niezbyt szczęśliwe połączenie tematyki obyczajowej, tradycyjnego trójkąta małżeńskiego z typowo angielskim humorem. Dla widza polskiego jest to dowcip dość daleki, trudno przyswajalny, nie więc dziwnego, że widowisko nie prowokowało do wybuchów śmiechu. Nawet bardzo sugestywne i sprawne aktorstwo Jana Swiderskiego niewiele pomogło sztuce. Niespodzian-

ka tym bardziej przykra, że angielską spółkę autorów znamy z kilku dobrych utworów, chociażby z grane-go przed laty z dużym powodzeniem „Billego kłamcy”.

Z programów rozrywkowych wybijał się oczywiście estradowy Jeremiego Przybory. Po kilku wydaniach „Divertimenta” sięgnął ten popularny autor kabaretowy po nową „formę muzyczną” — po suitę. „Wizyty” nazwał Przybora suitą salonową. Jak zawsze mieliśmy do czynienia z bardzo zwartym i jednolitym tematycznie montażem małych form teatralno-kabaretowych. „Wizyty” operowały tym samym humorem, ocierającym się o nonsens i groteskę, a jednocześnie wyposażonym w duży ładunek liryzmu i delikatności. Trafiła się pomysły świetne, na przykład pointa z gęsią, było dużo przednich popisów wykonawców, głównie Czechowicza i Michnikowskiego. Słowem, nowa audycja Przybory podtrzymuje dobre tradycje poprzednich widowisk.

SEG

## Dziwne i niesamowite